

Arkadiusz ROBACZEWSKI

APOLOGIA PRZYPADKOWOŚCI ALBO ODO MARQUARD – KLASYK

Dzisiaj coraz trudniej zachować zdolność zdziwienia. Myślę, że nikt też nie będzie się dziwił po lekturze książki Odo Marquarda *Rozstanie z filozofią pierwszych zasad*¹. Gdyby posłużyć się szczególnie w tym przypadku rozumieniem klasyczności, można by poglądy w niej zawarte określić jako klasyczne. Co skłania do uznania Marquarda za klasyka? Najprostszą odpowiedzią na to pytanie jest tytuł książki, będący zarazem, jak się okazuje w trakcie lektury, deklaracją autora: *Rozstanie z filozofią pierwszych zasad*.

Owo „rozstanie” zauważa się już w warstwie językowej. Marquard, zgodnie z postmodernistyczną manierą, traktuje filozofię tylko jako „a kind of writing” (sposób pisania). Zresztą jeśli chodzi o jego pisanie to trzeba przyznać, że jest to pisanie dla stylistów-smakoszy. Jędrny, żarliwy, pełen subtelного humoru styl Marquarda sprawia, że lektura przebiega bez przedzierania się przez zawiłości językowe. A czytając ma się

nawet wrażenie, że siedzi się za wykwintnie zastawionym stołem, unoszącym zdobione nakrycia, półmiski, sztucce. Tyle że zamiast spodziewanych pulard w majonezie i smakowitych łososi leżą tam naleśniki z podrzędnego baru mlecznego. To, co Marquard zawarł w swojej książce, jest po prostu nieco bardziej subtelną wersją postawy, z którą każdy mieszkaniec Europy końca XX wieku – wie o tym czy nie wie – styka się na co dzień. Jest to bowiem klasyczny postmodernizm – prąd przenikający krwiobieg współczesnej kultury.

Nie chcę pisać akademickiej recenzji książki Odo Marquarda. Postmodernizmu nie lubię, a teksty postmodernistycznych autorów nie rozgrzewają mnie poznawczo.

Na jeden wszakże wątek w trakcie lektury zwróciłem szczególną uwagę. Myślę zresztą, że wątek ten jest zauważalny dla każdego czytelnika *Rozstania z filozofią*. Nie sposób bowiem nie zauważyć, że Marquard cierpi na coś, co możemy nazwać „obsesją Boga”. Dokładniej – doskwiera mu problem teodycei: „Niewykluczone, że zostaliście już państwo ostrzeżeni: niemal zawsze dochodzę w jakiś sposób do tematu teo-

¹ Odo Marquard, *Rozstanie z filozofią pierwszych zasad*, *Studia filozoficzne*, tłum. K. Krzemieniowa, Warszawa 1994, ss. 166, Oficyna Naukowa.

dycei” (s. 39). A skoro jest teodycea, jest też zło i jest – człowiek.

Kim jest człowiek Marquarda? Jest to „człowiek oskarżony i uwolniony od odpowiedzialności”. Człowiek jest oskarżony z powodu zła w świecie. Znajduje się w stanie – jak to określa Marquard – „hipertroficznej trybunalizacji”. Podlega absolutnemu oskarżeniu. „To absolutne oskarżenie jest jednak zarazem po chrześcijańsku absolutnie złagodzone: dzięki boskiej łasce” (s. 53). Ale stan tego złagodzenia trwa do czasu, to znaczy do chwili, kiedy to człowiek powołuje Boga przed swój ludzki trybunał. Tylko że ten trybunał nie udziela już łaski – człowiek nie może Bogu okazywać łaski. W konsekwencji powołania Boga przed swój trybunał sam człowiek wyrzeka się łaski. Uznaje, że jest mu ona niepotrzebna, skoro sam może się stać oskarżycielem. Nie zauważa, że w ten sposób – z powodu zła w świecie – ponownie powraca na pozycję oskarżonego: „absolutne oskarżenie o obecność zła w świecie trafia człowieka tak bezlitośnie i tak bezlitośnie poddaje totalnej presji usprawiedliwienia, że staje się ono nie do wytrzymania i żyć z nim nie sposób” (s. 54).

Zatrzymajmy się przy tym chwilę. Tu bowiem jest jedno z tych źródełek, na razie niepozornych, które połączone utworzą w końcu potok postmodernizmu. Człowiek poddany absolutnemu oskarżeniu za wszelką cenę chce uciec – ucieka w stan „nieoskarżoności”. Początkiem tej ucieczki jest pytanie, parafraza słynnego pytania Leibniza: „Jakim prawem jest i obowiązuje w ogóle coś, a nie raczej nic?” Ucieczka przed oskarżalnością przyjmuje rozmaite formy: ucieczka w hiperindywidualność, która jest niewysławialna, niedosiężna;

ucieczka w nieobecność – kult podróży; ucieczka w anonimowość – roztopienie się w przyrodzie (dziś ucieczka ta znajduje wyraz w radykalnej ekologii).

Ale największą wagę ma – sam Marquard to dostrzega – ucieczka w „bycie sumieniem”. Jej sprawcą jest oczywiście I. Kant przez swoją radykalizującą tezę o autonomii sumienia. Ma tu miejsce – mówi Marquard – „zwolnienie Boga z jego obowiązków” (s. 63). Bóg nie jest już absolutnym oskarżonym, ale nie jest też absolutnym oskarżycielem. Miejsce Boga w tej podwójnej roli zajmuje człowiek. Za narzędzie oskarżenia wybiera filozofię. To filozofowie „nieustannie demonstrowali kunszt ciągłego obwiniania i oskarżania innych” (s. 65). Ale widzowie tej demonstracji opanowali ten kunszt i jego ostrze zwrócili przeciwko samym filozofom – i filozofii. „Obecnie sytuacja filozofii jest przeciwieństwem tego wszystkiego, czego filozofia życzyła sobie jako filozofia” (s. 66). Jednak docelowym punktem ucieczki w autonomiczne hipersumienie jest pogrzebanie sumienia. Aby skutecznie uwolnić się przed jego trybunałem, trzeba zaniegować istnienie jakichkolwiek praw. Nic nie jest takie, jakie jest – to typowe przeciwieństwo dla postmodernizmu (czy, jak kto woli, postfilozofii) twierdzenie.

Ale powróćmy w tym miejscu do sporu człowieka z Bogiem, tak jak go widzi Marquard. Czy nie jest to spór z prawdą? I czy konsekwencją tego sporu nie jest nowożytna filozofia, przeciwko której Marquard we właściwy dla postmodernisty sposób występuje? Znamienne, że filozofię pierwszych zasad umiejscawia Marquard w XVII i XVIII wieku, że łączy ją z nazwiskami Leibniza i Descartes’a. Każdy, kto z filozofią się zetknął, słyszał o przewrocie kartezjań-

skim. To od Kartezjusza zaczęła się zmiana optyki. Zaczęło się – zaryzykujemy to uproszczenie – zainteresowanie poznaniem świata, ustało zainteresowanie samym światem. Przedmiotem rozważań stała się idea: w szczególności idea Boga, nie Bóg żywy, którego po śladach w świecie rozpoznawali średnio-wieczni teologowie. Znakomity historyk filozofii E. Gilson widzi w Kartezjańskiej idei jasnej i wyraźnej początki indywidualizmu, który zdaniem Marquarda, odegrał niebagatelną rolę przy odchodzeniu od filozofii pierwszych zasad.

Filozofia nowożytna, w której postmoderniści widzą koncentrację centryzmu, absolutyzmu, fundamentalizmu, nie jest przecież filozofią Arystotelesa, św. Augustyna, św. Tomasza. Jest dokładnym odwróceniem ich postawy wobec świata.

Marquard swoje rozstanie z czytelnikiem kończy wcale nie zaskakującym wyznaniem: jestem sceptykiem. Wyłamuje się ze szkolnych ram tylko stwierdzeniem, że nie jest sceptykiem, który nie broni żadnej tezy, tylko takim, który broni wielu tez naraz. Rozpaczliwa chęć podkreślenia swego kaskaderstwa?

Czy płynie jakaś nauka z lektury Marquarda? Raczej nie. Można ją potraktować jako stylistyczne ćwiczenie. I utwierdzić się w przekonaniu, że mimo z wysiłkiem budowanej odrębności wobec innych autorów postmodernistycznych, Marquard jest jednak – choć to może brzmi śmiesznie – klasykiem postmodernizmu. A tym samym w spotkaniu z nim nabierają mocy stare, bardzo stare argumenty, jakich zwykło się używać w sporze z relatywizmem, sceptycyzmem czy fideizmem.